

Najświętsze słowa naszego życia.

Obudzili się o świcie tak mocno przytuleni do siebie, iż pierwszym uczuciem, jakiego doznali, było zdziwienie, że całą noc spali twardym i zdrowym snem, w którym nie przeszkadzała im bliskość. Chłopak poruszył się i podniósł na łokciu; patrzył przez chwilę na dziewczynę gorącymi oczyma, potem rzekł:

— Powiedz coś głośno, jeśli to wszystko naprawdę.

Dziewczyna roześmiała się. Objęła jego głowę nagimi ramionami i przytuliła go do siebie; była ciepła jak chleb. Przez chwilę słuchał twardego bicia jej serca, potem ona rzekła bardzo cicho:

— Myślisz, że to sen.

— Nic nie wiem — rzekł. — Ty nie wiesz, ile razy przez całą noc byłeś ze mną, mówiłaś do mnie, śmiałaś się do mnie; wyznawałaś mi takie rzeczy, o których marzyłem, a kiedy przychodziło rano i budziłem się, widziałem obok siebie puste miejsce. — Dotknął ręką jej twarzy i powiedział: — Kto wie?

— Ciągle myślisz, że to sen?

— Mówię ci: kto wie?

Popatrzyła na niego zmrużonymi oczyma. Wiedział, że chce mu coś powiedzieć i waha się. W nagłym strachu ścisnął jej rękę. Wtedy odezwała się:

— Więc wiesz, co zrobić? Wstań i podejdź do lustra.

— Po co?

— Wstań, mówię ci.

Chłopak wstał. Podeszedł do okna i odsunął firankę; dzień był jasny i czysty, dachy lśniły rosą; godzina była wczesna — zgrzytały dopiero pierwsze tramwaje. Chwilę patrzył w pustą ulicę, potem rzekł:

— Trochę się boję.

Wyskoczyła z łóżka; wzięła go za rękę i pociągnęła do lustra.

— Wierzysz teraz? — zapytała. — Sny gryzą duszę, ale nie szyję, mój drogi.

— Nie żałujesz tego?

— Czego?

— Nocy.

— Gdybym żałowała, nie wyglądałbyś tak, jak wyglądasz. Czy myślisz, że można kogoś tak kochać, jeśli się go nie pragnie?

— Myślałaś o mnie przedtem?

— Często.

— Chciałaś tego?

— Na pewno tak samo jak ty.

Uśmiechnął się gorzko.

— Skąd wiesz — rzekł — jak ja ciebie pragnąłem?

— O, wiem. Ja też muszę jakoś owinąć szyję, żeby ludzie nie zobaczyli.

Ogarnęło go straszne, żalosne wzruszenie — prawie żal.

— Tyle czasu — wybełkotał — czekałem na to wszystko, marzyłem... Aż strach pomyśleć, że to wszystko już się stało.

Podszedł do okna i znów spojrzął w ulicę. Nie chciał mówić, bał się słów. Z domów wychodzili do pracy pierwsi ludzie; znał ich wszystkich, była to mała piaszczysta uliczka — na takiej ulicy ludzie do dziś wzajemnie znają swoje sny. Wypełniony dziwnym, ciężkim uczuciem szczęścia, w które nie mógł jeszcze do tej chwili uwierzyć, milczał. Odwrócił się dopiero na dźwięk jej głosu. Stała za nim i dotykając twarzą jego pleców, mówiła:

— Pachniesz mlekiem jak mały piesek, tak śmiesznie. I oczy masz dziwne... —

Wzięła w ręce jego twarz i powiedziała: — Naprawdę jesteś małym pieskiem. Żeby tak mogło zostać na zawsze. Z żadnym mężczyzną nie byłam tak szczęśliwa. Z nikim nie było mi tak dobrze jak z tobą. Przysięgam ci, nie śniło mi się nawet, że będę kiedyś taka szczęśliwa.

— Było ci dobrze? — zapytał czując, że serce z przerażenia podeszło mu aż do gardła.

— Och, nie pytaj — powiedziała. — Teraz mnie się zaczyna zdawać, że to wszystko jest po prostu złym snem.

— Złym?

— Bo żal tylko dobrych snów, kiedy one się kończą.

— Powiem ci, co masz zrobić.

— Podejść do lustra?

— Właśnie.

Roześmiali się oboje. Chłopak powiedział:

— Muszę już lecieć do roboty.

— Zjedz śniadanie.

— Nie mogę — rzekł i pokręcił ze smutkiem głową. — Ty wiesz, jak to jest, kiedy się człowiek spóźnia do roboty.

— Poczekaj, naszykuję ci coś, to weźmiesz z sobą.

Począł się ubierać; nie śmiał przy tym dotknąć własnego ciała. Czuł ją ciągle przy sobie; aż po czubki włosów wypełniony był owym dziwnym, cięższym od ołowiu,

boleśniejszym od męki umierania, słodszy od najpiękniejszych wierszy uczuciem, jakie daje noc z kimś, na kogo czekało się przez tysiąc chwil, kogo pragnęło się przez wiele bezsennych nocy, kogo widziało się w każdej na ulicy spotkanej twarzy, kogo oczekiwało się przy każdym pukaniu do własnych drzwi; przez kogo nienawidziło się nieba, ziemi i ludzi; i przez kogo kochało się wszystko.

— Kiedy przyjdiesz? — spytała dziewczyna.

— Wieczorem. Będziesz czekać?

— Po co pytasz?

— Ciagle się boję.

— Przyjdę pierwsza do domu.

— Zaświeć światło, odsuń firankę i czekaj na mnie.

— Zaświecę światło, odsunę firankę i będę czekać na ciebie. A teraz powiem ci coś: nie będziemy się żegnać.

— Dlaczego?

— Nie chcę się z tobą rozstawać ani na moment.

Zamknął za sobą drzwi i zbiegł jak burza po schodach. Na ulicy zachłysnął się świeżym powietrzem. “Aaaa” — mruknął. Podniósł głowę do góry i machnął ręką. Potem ruszył szybko naprzód; do pracy miał spory kawałek drogi, a że było późno, musiał się śpieszyć. Przed jednym z domów przystanął i krzyknął:

— Heniek, chodź no tutaj, chodź no! — A że jak każdy warszawski cwaniaczek mówił jakby bez zębów, więc brzmiało to: “Enek, ono tutaj, ono!”

Wyszedł Heniek; był niski i krępy, twarz miał dobroduszną i szeroką. Ubrany był tak jak i chłopak — w czarny monterski kombinezon; kolorową koszulę rozpiętą miał na twardej szyi.

— Sie masz — powiedział. — Leciem, leciem. Wskoczmy jeszcze po Malinowszcza i po pana Ceńka. Leciem, leciem. Już się w tym miesiącu dwa razy spóźniłem do roboty.

Szli szybko. Słońce stało już wysoko na niebie; drzewa, dachy, liście i trawa szybko obsychały z rosy. Ulicą szły kobiety; miały włosy w nieładzie, palta narzucone pośpiesznie na szlafroki, w rękach trzymały butelki, garneczki i dzbanki na mleko. Heniek powiedział:

— Wpadnij do nas dziś wieczór. Fanfan przyniesie adapter. Będzie flaszka.

— Nie mogę dziś wieczór — powiedział chłopak. — Dziś wieczór jestem zajęty.

— Będziesz u Baśki?

— Nie twoja głowa.

— Ach, Boże — powiedział marzycielsko Heniek. — Jaka to kochana dziewczyna. Ach, Boże, jak ja ją kochałem. Ona zawsze do mnie mówiła: “Ty pachniesz mleczkiem jak mały kotek”.

— Kłamiesz, chamie!

— Żebym ja tak szczęście w życiu miał, widzisz! Ty przecież wiesz, że ja nigdy nie zasuwałem satyry. Ona mówiła, że jestem podobny do małego, puszystego pieska. Spokojna twoja czaszka: ona starsza kurwa jak my złodzieje. Ach, Boże, jak ja ją kochałem! I rzuciła mnie.

— Nie mogła do ciebie tak mówić.

— Nie?

— Nie. A bo co?

— Poczekaj.

Stanęli przed jakimś domem. Heniek krzyknął:

— Malinowski, wychodź!

Malinowski wyszedł. Był to młody człowiek pełen werwy i gracji; nie trzeba dodawać, że jak wszyscy chłopcy cesał się na Fanfana, a że miał najładniejsze włosy, jemu to właśnie przypadł ów zaszczytny przydomek.

— Sie masz — powiedział Fanfan.

— Fanfan — rzekł Heniek. — Powiedz jemu, co ci mówiła Baśka, jak ci robiła fleta.

— Późno — powiedział Fanfan. — Mnie powiedzieli, że jak się jeszcze raz spóźnię, to podadzą mnie pod sprawę. Zawsze człowiek się późno kładzie i to wszystko z tego. Baśka to porządna dziewczyna, Heniek. Ja na nią nie dam złego słowa powiedzieć.

Heniek się zniecierpliwiał.

— To nie o to chodzi — powiedział z zadyszka; szli szybko, a on miał najkrótsze nogi. — Czy ja ci mówię, żebyś na nią złe słowo powiedział? I ty wiesz, dlaczego ona mnie rzuciła. Ale ona tak zawsze pięknie mówiła.

Fanfan poczochnął czuprynę i rzekł:

— Ty jesteś moim małym, miodowym niedźwiadkiem.

— A o piesku?

— Pewnie, że był piesek — powiedział Fanfan. — Ona mówiła, że pachnę jak piesek, jak mały piesek. — Zwrócił się do chłopaka: — Ty, przyskocz do Heńka dziś wieczór. Pożyczę od szwagra adapter.

— Nie mogę — powiedział cicho chłopak. — Jestem zajęty dziś wieczór.

— Idzie pan Ceniek — powiedział Fanfan i krzyknął: — Panie Ceńku, poczekaj pan moment!

Pan Ceniek, mężczyzna idący przed nimi, zatrzymał się. Twarz miał kompletnie przepitą, oczy — krwawe.

— Sie masz — powiedział przytkając palcem w daszek czapki.

— Sie masz.

— Sie masz.

— O, Boże najdroższy — powiedział ochryple pan Ceniek. — Jak mnie strasznie pali. Żeby można było gdzie kupić piwa.

— Późno już. I tak będziemy jechać na cyckach. O tej porze tłok jak śmierć — powiedział chłopak.

Pan Ceniek popatrzył na niego przekrwionymi oczyma i rzekł ze współczuciem:

— Co ci jest kochany? Romans na tle osnuty, tak?

— Płyn pan dalej — powiedział chłopak.

— On się zrobił ostatnio bardzo dziwny — powiedział pan Ceniek z wyrazem męki na twarzy; dręczyło go ponure uczucie przepicia. Rzekł: — Musisz sobie ładną dziewczynę skosić. Przejdzie.

— Fakt — rzekł Fanfan i splunął.

— On ma ładną dziewczynę — rzekł Heniek. — Pan zna tę jego lalkę, panie Ceńku?

— Która? Chryste, jak mi się pić chce.

— Ta z rogu.

— Baśka?

— Fakt.

— Mowa — powiedział pan Ceniek i jego skrzywiona twarz wypogodziła się przez chwilę. — Żebyś ty tyle zdrowia miał, ile ja na niej straciłem. To najładniejsza lalka tutaj, na Marymoncie. Czekaj, czekaj. Jak ona zawsze do mnie mówiła?... Jezu, ja zdechnę z pragnienia!

— Mleka, panie Ceńku. Najlepsze po przepiciu mleko — powiedział Fanfan.

— Niech to cholera weźmie — zachrypiał pan Ceniek i znów skrzywił twarz jak po wypitym occie. — Właśnie o mleku. Wszystkie one coś mówią. Jak byłem w waszych latach, to akurat zaczynałem kosić. Wtedy jeszcze każda dziewczyna mówiła, że jesteś drugi. Mowa. A pierwszy to był zawsze jakiś partyzant, który zginął, ma się rozumieć, w lesie. A już rok później, jak się las skończył, to one mówiły, że ten partyzant albo siedzi w kiciu, albo go UB rozłupało. Mowa. “Kiedy byłem młoda, spotkałam żołnierza, który codziennie patrzył w oczy

śmierci, a ja mu chciałam dać trochę szczęścia, bo przecucie mnie mówiło, że zginie...” I tak dalej. Mowa. Śliczne historyjki! Mnóstwo takich słyszałam w życiu. Wtedy każda dziewczyna miała swojego porucznika Bogdana w AK. Tamta tego nie miała, bo jest za młoda. Ale też do mnie wstawiała takie słodkie gadki, że ją kosiłem i płakałem; jestem trunkowy, mam miękkie serce. Mowa, trawa, Warszawa.

— To nie o to chodzi — powiedział z rozpaczą chłopak. — To nie o to wszystko chodzi. Ale panie Ceńku, czy ona panu mówiła, że z żadnym mężczyzną nie było jej tak dobrze jak z panem? Mówiła?

— Mówiła — powiedział pan Ceniek.

— Mówiła — powiedział Fanfan.

— Mówiła — powiedział Heniek.

— Czy mówiła, że nawet jej się nie śniło, że może być tak szczęśliwa z mężczyzną?

— Mówiła.

— Mówiła.

— Mówiła.

— Czy żegnała się z wami, jak wychodziliście rano do roboty?

— Nie — powiedział Fanfan. — Myśmy się nigdy nie żegnali.

— Nie — rzekł Heniek i jego brzydka twarz zrobiła się smutna.

— Nie — powiedział pan Ceniek. — Czekajcie: krzyknę na szwagra. Późno już, późno, cholera.

Stanęli przed jakimś domem. Był to stary, ohydny, obdrapany dom; jeden z tych domów, przed którym wystarczy, abyś stanął i raz spojrział, a zobaczysz kupę nieszczęść i marzyć będziesz, aby drzwi tego domu na zawsze były zamknięte przed tobą. Przy piaszczystych i krzywych ulicach dzielnicy zwanej Marymont jest jeszcze wiele, wiele takich domów. — Ja już pójdę — powiedział chłopak. — Mam jeszcze coś załatwić. Nie będę czekał na pańskiego szwagra. Na razie, do wieczora.

— Miałeś przecież nie przyjść — powiedział Heniek. — Miałeś coś sobie załatwić wieczorem.

— Przyjdę — powiedział chłopak. — Załatwię to teraz. Najwyżej mnie wyleją z roboty.

— Ważna sprawa?

— Nie twoja głowa. Skombinuj ten adapter, Fanfan. Sie masz! — powiedział i odszedł w kierunku, skąd przyszli.

— Sie masz — rzekł Fanfan.

— Sie masz — rzekł Heniek.

— Sie masz — powiedział pan Ceniek i znów skrzywił się straszliwie. Potem rzekł kręcąc głową: — Co mu się stało, do cholery? Taki był z niego chłopak-równiacha... Pomóżcie mu jakoś. On sobie musi znaleźć jakąś dziewczynę, żeby go pokochała, żeby mu powiedziała coś dobrego, coś świętego. Jak Boga kocham, że mu jest potrzebna taka dziewczyna. Pomóżcie mu. Jesteście jego kolegami czy nie, do cholery?

1995